

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

8

Odpowiedzi nadchodziły masowo, ale mimo starannego ich przeglądania, zawsze dochodziłszy do tego samego wyniku. Dobrego rozwiązania nikt nie nadesłał. Także następnego dnia poczta przyniosła nam stos listów, zapowiedzianej wiadomości od Mr. Rogersa między nimi nie było. Tymczasem pocztowy ten człowiek zrobił więcej, niż obiecywał. O jedenastej godzinie zameldowano mi jego przybycie.

— Woląłem sam przyjechać — oświadczył mi po przywitaniu — przypuszczam, że tak będzie lepiej.

— Ależ naturalnie, Mr. Rogers — odpowiedziałem — usiłowaliśmy pana słowa uzupełnić z oryginału, ale nie potrafiliśmy tego zrobić.

— Wcale mnie to nie dziwi, mój panie, jest to specjalne pismo fantazyjne, które kazałem użyć do wydrukowania ograniczonej ilości kart. Ale patrz pan, kilka przywiozłem ze sobą. Zgadza się najdokładniej.

Podał mi przywiezione kartony. Przekonałem się natychmiast, że miał zupełną rację. Drżący z wewnętrznego wzruszenia podałem mu nieśczęsny oryginał.

— W takim razie pan robił i tę fotografię? — zapytałem.

Spojrzał uważnie na nią i odpowiedział:

— Tak jest!

I zapewne zna pan tę damę, którą ona przedstawia?

— Takich rzeczy nie zapomina się tak prędko. Jest to lady Florence Moslyn, córka księcia Lundy.

ROZDZIAŁ VII.

U księcia Lundy.

Nigdy w życiu nie wypłacałem nagrody z większym zadowoleniem, jak wtedy te 50 funtów szterlingów, które dałem panu Rogersowi. Nie posiadałem się z radości z powodu doskonałego wyniku moich starań, rozumiałem bowiem doskonale, że uczyniliśmy tem samym pierwszy krok na drodze do wyświeślenia tajemnicy.

Wiadomość podana przez dzienniki, że zamordowana Harriet Haples jest identyczną z zaginioną córką księcia Lundy, pobudziła bardzo zainteresowanie się publiczności całą sprawą. Rzecz bowiem przechodziła temsamem w sferę arystokratyczne i otoczona była nimbem romantyczności. W dodatku, kiedy dowiedziano się w jaki sposób ta tajemnica się wykryła, zapanało ogólne poruszenie.

Przypominałem sobie zaraz, że w aktach zaginionych na policyi widziałem nazwisko lady Florence Moslyn. Nie umiałem sobie jednak wytłumaczyć, dlaczego nie widziałem jej fotografii. Udałem się natychmiast do biura, aby rzecz zbadać na miejscu i ku memu wielkiemu zdziwieniu zobaczyłem w albumie zupełnie inną podobiznę tamże wklejoną. Także urzędnicy, którym na fakt ten zwróciłem uwagę, byli bardzo zdumieni. Postanowiono zasięgnąć informacji wprost u księcia Lundy. Oświadczył on, że fotografia w albumie nie jest tą, którą on nadesłał wraz z zgłoszeniem, kiedy jego córka zniknęła, nie przypomina sobie wogóle, aby tę podobiznę kiedykolwiek w życiu widział.

Niestety! Cieszyliśmy się, że udało nam się zrobić krok naprzód. a oto stanęła nam w drodze nowa zagadka, nowe powikłanie.

Należało przedewszystkiem postarać się o bliższe informacje o tej damie, której przeszłość okrywała taka tajemnica. Porozumiałem się natychmiast z samym księciem Lundy.

Był to bardzo oryginalny i dziwny człowiek, nie pociągał ku sobie, ale szacunku i poważania nie można mu było odmówić. Przedstawiał typ arystokraty od stóp do głowy, o nadzwyczajnie eleganckiem obęjściu, ale o żelaznej woli. Śmierć jego córki dotknęła go widocznie bardzo głęboko, ale świat nie miał o tem nic wiedzieć. Jego dziecko przecież dla niego od lat umarło. Rozmowa moja z tym panem była bar-

dzo krótką. Ubolewał, że nie może mi dać żadnych wyjaśnień, dotyczących jego córki, a któreby dla mnie mogły mieć jakiegokolwiek znaczenie. Opuściła ona bez jego wiedzy i woli jego dom bardzo dawno, a od tego czasu nie miał on o niej żadnych wiadomości.

Widziałem jasno, że z tej strony pomocy spodziewać się nie mogę. Należało szukać innych dróg i los tym razem pokierował szczęśliwie memi krokami.

Dowiedziałem się, że lekarzem okręgu Lambert, w którym leżała siedziba księcia, zamek Glenmore, jest mój szkolny kolega Henry Wray. Do niego zwróciłem się natychmiast. Okazało się, że znał on Lady Florence szereg lat przed jej zniknięciem, opowiedział mi też chętnie wszystko, co mogło dla mnie przedstawiać jakąkolwiek wartość. „Panienka“, jak ją nazywał, liczyła bowiem w chwili ucieczki niecałe 30 lat, odznaczała się szczęśliwym, wesołym usposobieniem i była ogólnie lubiana. Bardzo dobra, piękna i rozumna, udzielała się bardzo chętnie, czy to szło o przedsięwzięcia sportowe, czy też o inne zebrania towarzyskie. Nic dziwnego, że miała licznych starających się, nie odpowiadała jednak na niczyje uczucie, aż zjawił się niejaki Mr. Artur Durant. Był to człowiek, który pod wieloma względami nie stanowił odpowiedniej dla niej partyi.

O przeszłości tego Mr. Duranta nie wiele wiadomo. Jak sam opowiadał, dorobił się majątku w Australii i przybył do Anglii, aby tu prowadzić spokojne życie. Jako Krezus bawelniany z Lancashire lub miejscowy handlarz żelaza nie byłby tak łatwo uzyskał dostępu do sfer, w których obracała się taka dama jak Lady Moslyn, ale bogatemu Amerykaninowi lub kolonistcie było to o wiele łatwiej. Wszystkie drogi były dlań otwarte, a dzięki doskonałym koniom pełnej krwi, eleganckiej prezencji, nieograniczonej ofiarności i sympatycznemu obęjściu zaprzyjaźnił się szybko z przedstawicielami najlepszych kół towarzyskich. A ponieważ nic mu w jego otoczeniu nie potrafiło zaimponować, to właśnie ułatwiał mu wstęp wszędzie. Wnet zaczęło go ogólnie zapraszać. Jedne zaproszenia przyjmował, innym odmawiał, między pierwszymi było także zaproszenie księcia de Lundy.

Od pierwszej chwili zainteresował się bardzo osobą Lady Florence. W jej towarzystwie promieniał wykwitem humoru i okazywał swe zalety towarzyskie w całej pełni. Nigdy jednak nie narzucał jej się, przeciwnie zdawał się jej unikać. Czy to było robione rozmyślnie, czy też żywił on jakieś ukryte zamiary, nie wiadomo, w każdym razie prowadził swą grę po mistrzowsku, a Lady Florence umiała ocenić takie panowanie nad sobą. Prawdopodobnie dała mu ona do poznania, że lubi jego towarzystwo, a on był na tyle przebiegły, że umiał swe szanse wykorzystywać.

Człowiek ten kochał ją, to jedno było pewnem. Ostatecznie doszło do tego, że ona odpowiedziała mu wzajemnością, mimo że nie odznaczał się nadzwyczajnem wykształceniem, ani zewnętrzną prezencją, którą biło go wielu z pośród młodych ludzi, otaczających pannę de Lundy. Możliwe, że swobodne obęjście, do jakiego przywykł za oceanem w twardej walce o chleb powszedni, wywarło na nią silne wrażenie i lepiej jej się podobało, niż owe uformułowane, ściśle określone formy jej otoczenia. Jakkolwiek rzeczy się przedstawiały. Durant stał się wnet cieniem młodej lady. Wszędzie, na polowaniu czy też w sali balowej znajdował się przy niej i pozycyi swej bronił z poważną pewnością siebie.

Nie jest pewnem, czy i kiedy wyznał jej swą miłość, faktem jednak jest, że oświadczył się księciu o jej rękę. Otrzymał kategoryczną odmowę, a stary pan o mało nie wyszedł wtedy zupełnie z równowagi, iaką starał się zawsze zachować. Ustały zaproszenia do Glenmore, a swoboda Lady Florence została silnie ograniczona. W jakiś czas potem młoda panna nagle zniknęła; nie pozostawiła za sobą najmniejszego śladu i ani rodzina, ani przyjaciele nie słyszeli więcej o niej. Identyczność osoby stwierdzono dopiero z racyi morderstwa przy Andley Street.

A Durant? — zapytałem przyjaciela.

— O, Durant! Pozostał jeszcze jakiś czas, póki nie skończył się termin wynajmu jego willi. Dopiero z końcem marca następnego roku wyjechał za granicę. Zniknięcie lady Florence obeszło go bardzo silnie; jak słyszałem z rozpacz zaczął pić. Dzień jego odjazdu utkwiał mi dokładnie w pamięci, gdyż tuż przedtem popełniono

wielką kradzież w pałacu Glenmore a także włamano się do mieszkania Duranta.

Co się z nim potem stało, kiedy opuścił te strony?

— Nie umię ci tego powiedzieć. Wedle jednej wersji wyjechał znowu za granicę, wedle innej zeszedł na złe drogi. W każdym razie tutaj więcej się nie pokazał.

— Co ty sądzisz o zniknięciu Lady Florence?

Lekarz zawahał się przez chwilę, potem odrzekł:

— Chcę być całkiem szczerym z tobą. Wyrobiłem sobie w tej sprawie własne przekonanie, którego nie umię się pozbyć, chociaż jest ono w gruncie rzeczy bardzo nieuchwytne, a nawet bezpodstawne. Mojem zdaniem Durant stoi w ścisłym związku ze zniknięciem Lady Florence.

— W jaki sposób?

— Otóż to, tego właśnie nie potrafię określić. Nie mam najmniejszego uzasadnienia na poparcie mego twierdzenia. Mimo to jestem przekonany, że jeden tylko Mr. Durant o ile jeszcze żyje mógłby wiele powiedzieć o tej ciemnej historii.

Pełen rozczarowania wróciłem do Londynu. Pierwszą mą czynnością było polecenie wydane defektywowi, aby wyszukał Artura Duranta. Wobec tego jednak, że bardzo mało wiedzieliśmy o jego osobie, a zupełnie nic o jego obecnem miejscu pobytu, nie żywiłem prawie żadnej nadziei, aby poszukiwania dały jakieś wyniki, zwłaszcza przed terminem rozprawy.

ROZDZIAŁ VIII.

Mr. Keighlei Gates opowiada o Durancie.

Muszę szczerze przyznać, że po powrocie z wyprawy do księcia de Lundy czułem się bardzo przybity. Nieprzewidywane trudności nagromadziły się wokoło mnie jak twardy mur, nie wiedziałem, dokąd się zwrócić. A przecież musiało się coś stać i to jak najprędzej, jeśli wszystko nie miało być straconem. Ale co?

Pełen rozpacz poddałem jeszcze raz badaniu wszystkie dowody, jakie świadczyły przeciw Jerzemu. Przejrzałem także listę wezwanych do rozprawy świadków. Starałem się znaleźć jakąś lukę, jakąś wskazówkę dla mnie.

Nagle przyszła mi pewna myśl do głowy. Ow Mr. Gates, dzięki którego uwadze wypowiedzianej w hotelu Metropole podejrzenie zostało skierowane na Jerzego, mógł mi coś powiedzieć. Może należałoby go odwiedzić i zapoznać się z nim. Jak portyer wspominał, jeździł on dużo po świecie i tam może poznał Duranta, a może nawet wiedział, gdzieby go można znaleźć. Prawdopodobieństwo dowiedzenia się tutaj czegoś było bardzo małe, ale jak tonący gołęb byłem chwycić się nawet słomy.

Dowiedziałem się, że ów pan mieszka w hotelu Metropole, udałem się tam natychmiast i szczęśliwie zastałem go w domu.

O ile wiedziałem, Mr. Gates nie mieszkał stale w hotelu, byłem też niepomiernie zdziwiony zbyt kownym urządzeniem pokoi. Nic nie przypominało zwykłych hotelowych mebli, ale przeciwnie całe otoczenie wskazywało, że żyje tu światowiec o wysubtelnionym smaku artystycznym. Nizkie krzesła i wygodne kanapki zaścielały kosztowne wschodnie dywany, w oknach wisiały firanki z indyjskiego jedwabiu. Ściany przybrane były bogatym zbiorem cennych okazów broni, między którą były szable damasceńskie, amerykańskie sztylety i prawdziwy Andrea Ferrara. Tu i ówdzie wisiały sztychy, zaś na kominku stał szereg fotografii i liczne wyroby z porcelany i szkła.

Wszystko to ogarnąłem spojrzeniem wchodząc do pokoju. Najbardziej, ma się rozumieć, zaciekał mnie sam gospodarz, Mr. Gates. Szczupły, silnie zbudowany był średniego wzrostu. Na pierwszy rzut oka uderzał jego monokl i szereg wystających dużych zębów, nadto para ostrych, przenikliwych oczu i wąskie, bardzo wąskie usta. Twarz gładko wygolona. nad czołem zaczynała się zaznaczać łysina, nos na końcu był lekko zaczerwieniony.

Kiedy wszedłem zameldowawszy się, przerwał swe zajęcia — pisał właśnie — i zwrócił na mnie swe badawcze spojrzenie, jakby z niedowierzaniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).